

Był jazz

Jerzy Eisler

Obraz Feliksa Falka to nie tylko hołd złożony pionierom polskiego jazzu, lecz także jeden z pierwszych nakręconych u nas filmów włączających się w dyskusję o stalinizmie.

Urszula Dudziak, Wojciech Karolak, Krzysztof Komeda Trzciański, Andrzej Kurylewicz, Adam Makowicz, Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz, Jerzy Milian, Zbigniew Namysłowski, Włodzimierz Nahorny, Krzysztof Sadowski, Tomasz Stańko, Andrzej Trzaskowski, Michał Urbaniak, Jan „Ptaszyn” Wróblewski – to tylko niektóre nazwiska znanych szeroko poza granicami kraju, wybitnych polskich jazzmanów. Być może zresztą w żadnej innej dziedzinie kultury

nie moglibyśmy się pochwalić podobną grupą światowej sławy artystów, co właśnie na tym polu. Należy przy tym pamiętać, że początki jazzu w Polsce – uważanego przez komunistów za muzykę „amerykańskich imperialistów” – sięgają okresu stalinowskiego, kiedy to ten rodzaj muzyki był tępiony i rugowany z obiegu publicznego. Trudno się więc dziwić, że – gdy tylko w latach 1980–1981 za sprawą skupionego wokół Solidarności wielkiego ruchu społecznej odnowy pojawiły się możliwości cenzuralne – film opowiadający o dramatycznych początkach jazzu w Polsce po prostu musiał zostać zrealizowany.

Jazz w katakumbach

Zadania tego podjął się czterdziestoletni wówczas scenarzysta i reżyser Feliks Falk, autor uhonorowanego nagrodami w kraju i za granicą *Wodzireja*, ze znakomitą kreacją Jerzego Stuhra w roli tytułowej. Film ten (także jego twórca) był zaliczany do nader ważnego w drugiej połowie lat siedemdziesiątych nurtu kina moralnego niepokoju. Także w przypadku obrazu *Był jazz* Falk był nie tylko reżyserem, ale i scenarzystą. Tym razem zajął się jednak historią (fakt, że wówczas niezbyt odległą), a nie współczesnością. Na ekranie oglądamy zatem prawdziwe dzieje grupy muzyków, którzy w okresie stalinowskim uprawiali w Łodzi tzw. jazz katakumbowy. W sytuacji, gdy komuniści nie tolerowali tego gatunku muzyki, zabraniali grać ją publicznie, a tym



► W czasach stalinizmu nawet muzyce władze chciały nadać znaczenie polityczne; na zdjęciu: Andrzej Grabarczyk w roli Witka



Fot. FilMOTEKA Narodowa

bardziej prezentować w radiu, jej entuzjaści musieli uciekać się do różnych wybiegów, aby w ogóle móc się spotykać i grać ją choćby dla siebie samych. Próbowali więc wciskać się do różnych szkolnych sal gimnastycznych, restauracji, świetlic itp., przy okazji niejednokrotnie okłamując dysponentów pomieszczeń co do rodzaju granej przez siebie muzyki. Bywało zresztą i tak, że koncertowali w prywatnych mieszkaniach. Natomiast na co dzień na różnych potańcówkach i dancingach oficjalnie grali muzykę „słuszną”, ale nawet wtedy czasem (w chwilach przerwy) dopadali do instrumentów i grali to, co im naprawdę w duszach grało.

Film został zrealizowany w hołdzie pionierom jazzu w Polsce, ale i z udziałem niektórych z nich. W czołówce twórcy zawarli podziękowanie następującej treści: „Realizatorzy serdecznie dziękują Jerzemu Matuszkiewiczowi, słynnemu leaderowi zespołu »Melomani«, za konsultację, współpracę i opiekę artystyczną nad filmem”. Saksofonista Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz, który niewątpliwie był dobrym duchem całego przedsięwzięcia, zagrał też zresztą w tym filmie (we fragmentach rozgrywających się w 1981 roku) samego siebie. Podobnie uczynili jego koledzy z zespołu, w tym wspomniany już pianista Andrzej Trzaskowski oraz Witold Sobociński, który w „Melomanach” grał na perkusji, a na planie filmowym był... autorem pięknych, wystylizowanych kadrów. Był to zresztą wyjątkowy zespół muzyczny. Wystarczy powiedzieć, że z wymienionej na wstępie elity polskiego jazzu – obok już wspomnianych – grał w „Melomanach” jeszcze między innymi saksofonista Zbigniew Namysłowski. Nie od rzeczy będzie też przypomnienie, że byli oni tym zespołem jazzowym, który 5 stycznia 1958 roku pierwszy dostał zaszczytu występu w Filharmonii Narodowej w Warszawie.

Szare w kolorze

Trudno się więc dziwić Falkowi, że postanowił złożyć im hołd i zrealizował film o ludziach, którzy w szaroburej rzeczywistości (film jest jednak kolorowy!) lat stalinowskich zrobili naprawdę niemało, aby móc grać zakazaną przez władze „czarną” muzykę amerykańską. Oczywiście ten ostatni przymiotnik: „amerykańska” wystarczył za wszystkie argumenty merytoryczne. W ocenie władz partyjno-państwowych muzyka jazzowa była zła, bo zła ze swej natury były imperialistyczne Stany Zjednoczone, będące jej ojczyzną. Komuniści i ich stronnicy uważali wówczas, że polska młodzież powinna się bawić na organizowanych przez Związek Młodzieży Polskiej potańcówkach przy dźwiękach walczyków, narodowych melodii ludowych, a do pracy i nauki powinny mobilizować ją pieśni masowe. Dla jazzu w tej ideologicznej układance w ogóle nie było miejsca.

Film rozgrywa się na dwóch płaszczyznach. Po pierwsze, opowiada o kolejnych muzycznych eksperymentach i dokonaniach młodych jazzmanów. Po drugie, jako jeden z pierwszych obrazów włączył się w dyskusję filmowców o stalinizmie w Polsce. Na ekranie widzimy nie tylko czerwone flagi, propagandowe transparenty i wypisane białym kolorem na czerwonym tle komunistyczne slogany, lecz także słyszymy popularne w owym czasie pieśni masowe. Jako swoisty „bonus” otrzymujemy od twórców realistyczny obraz ówczesnego życia codziennego grupy młodzieży, zaangażowanej w początki ruchu jazzowego w naszym kraju. Równocześnie Falk dorzucił pewne polityczne smaczki. Na przykładzie historii redaktora Erwina, znakomicie zagrane przez Michała Tarkowskiego (mającego już zresztą za sobą kreacje „Vittoria” w *Człowieku*

z marmuru oraz Romka Hawalki w *Wodzieju*), możemy zobaczyć, jak wyglądała w praktyce – częsta w tamtych latach – publiczna samokrytyka na „forum kolektywu”. Możemy się również wcześniej przyjrzeć, jak w ogóle mogło dojść do przewinienia. Za namową kolegów jazzmanów pracujący w Polskim Radiu redaktor Erwin wyemitował na antenie jeden tego typu utwór. Mimo że opatrzył to „słusznym” komentarzem, w którym tłumaczył, iż jest to muzyka czarnych niewolników z plantacji na południu Stanów Zjednoczonych, został przez przełożonych surowo skarcony i właściwie zmuszony do złożenia upokarzającej samokrytyki.

Polityki i historii w tym dziele jest zresztą dużo więcej. Wystarczy wspomnieć wątek dziewczyny jednego z muzyków, Alicji, granej przez Bożenę Adamek. Widzowie poznają prawdę stopniowo, by w końcu się dowiedzieć, że jej mąż z powodów politycznych przebywa w więzieniu. Bardzo ciekawie zostało ukazane to, jak o takich sprawach w ówczesnej Polsce mówiło się, a właściwie nie mówiło się nawet między bliskimi sobie osobami. Realizatorzy odtworzyli także niektóre – zróżnicowane! – reakcje społeczne na wiadomość o śmierci Józefa Stalina, łącznie z wypowiedzianym przez jedną z osób sławną frazę: „Czym będzie świat bez niego?”. Widz – zgodnie ze stanem faktycznym – może więc zobaczyć rozpacz jednych i obojętność innych na tę informację. Jednocześnie nie do końca chyba jesteśmy w stanie zrozumieć, co naprawdę myśli – wygłaszająca komunistyczne slogany – znakomicie zagrana przez Sławę Kwaśniewską Irena, ciotka Tomka Markowskiego. W tej roli z kolei pojawił się na ekranie Michał Bajor. Obok wymienionych już aktorów w jednej z głównych ról wystąpił Andrzej Grabarczyk, a w epizodach m.in. Dorota Kamińska, Piotr Machalica, Jan Peszek, Witold Pyrkosz i Bogusław Sochnacki.

Trzy lata na półce

Pewne zdziwienie u niejednego widza może wywołać to, że właśnie po śmierci Stalina, gdy można przecież było się spodziewać pewnej, choćby nawet tylko symbolicznej, liberalizacji życia w PRL, bohaterowie przejściowo rezygnują z grania jazzu. Nie dziwi, że nie koncertowali ani nie ćwiczyli razem w okresie żałoby po śmierci radzieckiego dyktatora, ale przerwa była znacząco dłuższa. Ciekawe jest przy tym to, że twórcy *Był jazz* – chyba w mniejszym stopniu niż autorzy innych, powstałych w tym samym czasie, filmów starających się opowiadać o stalinizmie w Polsce – odwoływali się bezpośrednio do okrucieństw i nieprawości „okresu błędów i wypaczeń”. Być może było tak dlatego, że film miał mówić o muzyce, a ta

– jak wiadomo – ponoć łągodzi obyczaje. Niezależnie od tej powściągliwości twórców, zrealizowany w 1981 roku obraz, miał oficjalną premierę dopiero 1 kwietnia 1984 roku.

Troska twórców o różne, nawet drobne szczegóły miała jednak swoje granice. Po raz kolejny w dziejach filmu (nie tylko zresztą polskiego), którego akcja rozgrywa się przed odwilżą 1956 roku, jesteśmy świadkami dość zabawnej wpadki. Otóż w pewnym momencie jeden z bohaterów włącza radio i od razu z głośnika rozlega się muzyka, choć przecież wtedy nie było w Polsce odbiorników tranzystorowych, a tylko one reagują od razu na włączenie. Dostępne wówczas odbiorniki lampowe potrzebowały kilkadziesiąt sekund, żeby się rozgrzać i dopiero wówczas głośnik mógł przemówić. Oczywiście takie realizatorskie niedopatrzienia w żadnym razie nie mają wpływu na pozytywną ocenę całego filmu.

Na koniec należy wyraźnie podkreślić, że dla wszystkich miłośników jazzu wielkim atutem filmu jest oczywiście muzyka, wykonywana brawurowo przez zespół Old Timers. Trudno wręcz powstrzymać się od rytmicznego przytupywania, gdy grają znany standard, bez mała hymn tradycyjnego jazzu: *When The Saints Go Marching In...* 🎷

prof. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL oraz najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008), *Siedmiu „wspaniałych”. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)

➤ Grupa przyjaciół chwytająca się każdej możliwości zagrania jazzu: Karol (Andrzej Chichłowski), Tomek Markowski (Michał Bajor), Mikołaj (Kazimierz Wysota) i Rajmund (Jacek Sas-Uhrynowski)

